

MARIO PUZO

GŁUPCY UMIERAJĄ



Rozdział 1

„Posłuchaj. Powiem ci prawdę o życiu mężczyzny. Powiem ci prawdę o jego miłości do kobiet. O tym, że nigdy nie pała do nich nienawiścią. Już pewnie myślisz, że jestem na złej drodze. Zostań ze mną. Uwierz mi — jestem mistrzem magii.

Czy wierzysz, że można kochać kobietę i ustawicznie ją zdradzać? Mniejsza o zdradę fizyczną, chodzi o intencje, o »pozję duszy«. Cóż, nie jest to proste, ale i tak mężczyźni nieustannie to robią.

Chcesz wiedzieć, jak kobiety potrafią kochać, świadomie karmiąc cię miłością, aby zatruć twoje ciało i umysł tylko po to, by cię zniszczyć? A następnie, kiedy kończy się namiętność, wolą odejść? Jednocześnie mają cię obietnicami, robiąc z ciebie głupka? Niemożliwe? To jeszcze nic.

Ale, ale, nie zniechęcaj się. To nie jest kliwy romans.

Sprawię, że poczujesz bolesne piękno dziecka, zwierzęcą żądzę dorastającego chłopca i samobójcze nastroje nastolatki. A potem (to będzie chyba najtrudniejsze) ukazę ci, jak czas zmienia mężczyznę i kobietę, ich ciała i umysły.

A później, oczywiście, jest PRAWDZIWA MIŁOŚĆ. Nie uciekaj! Ona istnieje, a jeśli nie, to ja ją powołam do życia. Nie na darmo jestem mistrzem magii. Czy warto? A co z wiernością cielesną? Czy o to chodzi? Czy to jest miłość? Czy zachowanie miłości dla jednej wybranej osoby pozostaje w zgodzie z naturą ludzką? A jeśli tak nie jest, to czy dostajesz dodatkowe punkty za starania? Czy to działa w obie strony? Oczywiście, że nie. A jednak...

Życie samo w sobie jest komiczne, a nie ma nic zabawniejszego niż miłość podróżująca w czasie. Ale prawdziwy mistrz magii potrafi sprawić, że jego publiczność jednocześnie śmieje się i płacze. Inaczej sprawa wygląda ze śmiercią. Nigdy nie będę sobie żartował ze śmierci. Przekracza to moje możliwości. W porównaniu ze śmiercią miłość jest męcząca i infantylna, a jednak mężczyźni bardziej wierzą w miłość niż w śmierć.

Zawsze mam się na baczności przed śmiercią. Nie oszuka mnie. Wyczuwam ją na miłę. Uwielbia przychodzić pod postacią stracha na wróble; komiczny kształt, który nagle rośnie i rośnie; ciemny, kosmaty kret, który przegryza żyjące pędy; czasem skrywa się pod chorobliwym rumieńcem. I nagle zaskakuje ofiarę szczerzącą zęby czaszką. Ale nie mnie. Ja czekam na nią. Jestem ostrożny.

Kobiety to inna sprawa. One są w posiadaniu wielkiej tajemnicy. Nie traktują miłości poważnie, nigdy tego nie robiły.

Nie, nie możesz teraz odłożyć tej książki. Powtarzam: to nie jest ekliwy romans. Zapomnij o miłości. Pokażę ci wszystkie stadia władzy. Najpierw życie biednego, starającego się przebić pisarza. Wrażliwego. Utalentowanego. Może nawet geniusza. Pokażę ci artystę wydostającego się z gówna dla dobra sztuki. I dlaczego tak bardzo jest tego wart. Następnie opowiem ci o sprytnym przestępcy u szczytu powodzenia. Ach, cóż za prawdziwą radość odczuwa artysta, kiedy w końcu staje się łotrem. Już się z tym nie kryje, ukazuje całą swoją naturę. Bez żadnych bzdur o honorze. Ten skurczybyk to dziwka. Oszust. Jawny wróg społeczeństwa, który nie chowa się za cipę kurwy — sztuki. Co za ulga. Co za przyjemność. Niewysłowiona rozkosz. Następnie opowiem, jak znów staje się uczciwym człowiekiem. Ciężko jest być łotrem.

Ale to pomaga przyjąć społeczeństwo takim, jakie jest, i wybaczyć bliźnim. Jedno jest pewne: nikt nie powinien być łotrem... no, chyba że potrzebuje pieniędzy.

Następnie opowiem historię jednego z największych sukcesów w literaturze. Opiszę intymne życie mocarza naszej kultury. Szczególnie o jednym walniętym kutasie. Wyższe sfery. A więc mamy już świat biednego geniusza pióra, szemrane towarzystwo i wyższe sfery literatury. Wszystkie te podszyte seksem, skomplikowane wynurzenia nie walną cię jak obuchem w głowę, ale możesz je uznać za interesujące. I wreszcie

zakończę opowieść w pełnym blichtrze Hollywoodu, gdzie nasz główny bohater będzie zżerał swoje nagrody, przepieprzał pieniądze, otoczony sławą i pięknymi kobietami. I... nie odkładaj, nie odkładaj — opowiem, jak to wszystko obraca się w proch.

Nie wystarczy? Już to znasz? Pamiętaj, jestem mistrzem magii. Ja naprawdę mogę ich powołać do życia. Ukażę ci, co rzeczywiście myślą i czują. Załkasz nad ich losem, ich wszystkich, obiecuję ci to. A może tylko się roześmiejesz. Tak czy inaczej przyrzekam ci dużo rozrywki. Może nauczysz się czegoś o życiu. Choć to i tak niczego nie zmieni.

A, wiem, co sobie myślisz. Ten sprytny skurwiel chce, żebym czytał dalej. Spokojnie, to tylko taka opowieść. Co szkodzi przeczytać? Nawet jeśli ja biorę to poważnie, ty nie musisz. Po prostu baw się dobrze.

Chcę ci opowiedzieć historię wcale nie z próżności. Nie pragnę sukcesu, sławy czy pieniędzy. To proste, większość mężczyzn i kobiet tego nie pragnie. Nawet lepiej: nie pragnę miłości. Kiedy byłem młody, niektóre kobiety mówiły, że kochają mnie za długie rzęsy. Przyjmowałem to bez komentarza. Następnie kochały mnie za mój umysł. Następnie za władzę i pieniądze. Następnie za talent. Następnie za głębię umysłu. Dobra, poradzę sobie z tym wszystkim. Jedyna kobieta, która mnie przeraża, to ta, która kocha mnie dla mnie samego. Mam pewne plany co do niej. Trucizny, sztylety, ciemne grobowce w jaskiniach, gdzie ukryję jej głowę. Nie można jej pozwolić żyć. Zwłaszcza gdy jest wierna, nigdy nie kłamie i zawsze stawia mnie na pierwszym miejscu.

W tej książce będzie sporo o miłości, ale to nie jest romans. To powieść wojenna. O odwiecznej wojnie pomiędzy mężczyznami żyjącymi w głębokiej przyjaźni. O wielkiej »nowej« wojnie pomiędzy mężczyznami i kobietami. Jasne, że to stara sprawa, ale dopiero niedawno ją ujawniono. Bojowniczkami Frontu Wyzwolenia Kobiet myślą, że to coś nowego, nie uświadamiając sobie, że to jedynie wyjście z konspiracji. Słodkie kobietki zawsze osaczały mężczyzn: przy kołyskach, w kuchni i w sypialni. Przy grobach swych dzieci — najlepsze miejsce na pozbycie się litości.

No cóż, myślisz pewnie, że mam żal do kobiet. Ale ja nigdy nie czułem do nich nienawiści. Przekonasz się, że są lepsze niż

mężczyźni. Prawdą jest jednak, że tylko kobiety były w stanie mnie unieszczęśliwić i czyniły to z zapalem już od kołyski. Wielu mężczyzn powie wam to samo. Na dodatek nie można nic na to poradzić.

Wyzaczyłem sobie dziwny cel. Wiem, wiem, trudno się temu oprzeć. Ale uważaj. Jestem szalbierzem, nie takim jak cała ta zgraja słabych, wrażliwych artystów. Zabezpieczyłem się. Wciąż mam w rękawie kilka asów.

Wystarczy już. Pozwól mi zabrać się do pracy. Pozwól mi zacząć i skończyć”.

Rozdział 2

W najszcześniejszym dniu swego życia Jordan Hawley zdradził trójkę najlepszych przyjaciół. Ale jeszcze tego nieświadomy, wafesał się po sali gry w kości wielkiego kasyna w hotelu Xanadu, zastanawiając się, w co teraz zagrać. Było dopiero wczesne popołudnie, a on już wygrał dziesięć tysięcy dolarów. Znużył go widok błyszczących czerwonych kostek toczących się po zielonym suknie.

Wyszedł z tego pomieszczenia po miękkim, uginającym się pod stopami purpurowym dywanie i skierowawszy się ku terkoczącemu kołu ruletki, stojącemu wśród czerwonych i czarnych pól, beztrudnie postawił na zielone i podwójne zero. Zrobił jeszcze kilka idiotycznych obstawień, przegrał i udał się do sali black jacka.

Małe stoły do black jacka w kształcie podkowy stały w dwóch rzędach. Kroczył pomiędzy nimi jak więzień Indian, idący na tortury. Z dwu stron atakował go widok niebieskich koszulek kart. Przeszedł bezpiecznie i dotarł do olbrzymich szklanych drzwi, prowadzących na ulice Las Vegas. Zobaczył stąd Strip, strzeżony przez luksusowe hotele.

Pod pałącym słońcem Nevady tuzin hoteli rozświetlały neony o mocy milionów watów. Hotele zdawały się roztopiać w oślepiającej złotej mgłę jak miraż. Wygrane Jordana Hawleya uwięziły go w klimatyzowanym kasynie. Byłoby szaleństwem wyjść na zewnątrz, gdzie czatowały na niego inne kasyna razem ze swymi dziwnymi i pochodzącymi z nieznanego źródła fortunami. Tutaj jest zwycięzcą, a wkrótce spotka się ze swymi

przyjaciółmi. Tutaj jest chroniony przed rozpaloną żółtą pustynią.

Jordan Hawley odwrócił się od szklanych drzwi i usiadł przy najbliższym stoliku do black jacka. Czarne studolarowe sztony, małe podpalane słoneczka zagrzechotały mu w dłoni. Obserwował krupiera, wyciągającego karty z nowej paczki i wkładającego je do prostokątnego drewnianego pudełka.

Jordan stawiał sporo na każdy z dwóch małych stosów, grał na dwie ręce. Miał szczęście. Grał aż do wyczerpania się talii. Krupier często się mylił i kiedy potasował karty, Jordan ruszył dalej. Kieszenie miał wypchane sztonami. Nie obawiał się jednak ich utraty, ponieważ nosił specjalną, zaprojektowaną przez Sy Devore'a Kurtkę Zwycięzcy z Vegas. Była niebieska, wykończona purpurą, i miała specjalne zapinane na zamki błyskawiczne kieszenie o nastrajającej optymistycznie objętości. Podszewka kurtki także miała specjalnie zapinane wewnętrzne kieszenie tak głębokie, że nie mógł się do nich dostać żaden kieszonkowiec. Wygrane Jordana były bezpieczne, a i tak miał jeszcze w kieszeniach dużo miejsca. Nie narodził się jeszcze taki, który by wypełnił po brzegi kieszenie Kurtki Zwycięzcy z Vegas.

Kasyno oświetlone dużymi żyrandolami wypełniała niebieskawa poświata, odbijająca się od purpurowej wykładziny. Jordan skrył się w półmroku baru z obniżonym sufitem i sceną dla artystów. Siedząc przy małym stoliku, spoglądał w głąb kasyna, tak jak widz patrzy na estradę.

Zahipnotyzowany, przyglądał się popołudniowym graczom, dryfującym od stolika do stolika w niezmiennym rytuale. Jak tęcza jaśniejąca na jasnoblękitnym niebie, koło ruletki błyszczało czerwienią harmonizującą z czernią numerów na stole. Niebieskie karty o białych koszulkach przesuwają się wzdłuż zielonych stołów. Czerwone kości z białymi kropkami wyglądały jak latające ryby, skaczące ponad stołami w kształcie wieloryba. W głębi za rzędami stołów do black jacka krupierzy schodzący z dyżuru unosili ręce nad głowę i myli je, aby pokazać, że nie ukrywają sztonów.

Kasyno wypełniało się aktorami: znad odkrytego basenu przybywali czciciele słońca, inni z kortów tenisowych, półgolfowych, po drzemce, popołudniowych bezpłatnych lub płatnych miłościach, świadczonych w tysiącach pokoiów Xanadu.

Jordan zauważył jeszcze jedną Kurtkę Zwycięzcy z Vegas, wchodzącą do kasyna. To był Merlyn. Merlyn Dzieciak. Merlyn zatrzymał się przy ruletce. To była jego słabość. Rzadko jednak grał, ponieważ wiedział, że pięć i pół procent ruletki tnie jak ostry miecz. Jordan pomachał mu z ciemności dłonią. Światło wydobyło szkarłatne pasy na rękawach, Merlyn z miną męczennika oderwał się od ruletki, wyszedł z oświetlonej części kasyna i usiadł. Zapinane kieszenie Merlyna nie grzechotały sztonami. Nie miał ich też w dłoniach.

Siedzieli tak bez słowa, nieskrępowani. Merlyn wyglądał w swojej szkarłatno-niebieskiej kurtce jak atleta. Był młodszy od Jordana przynajmniej o dziesięć lat. Miał kruczoczarne włosy. Wyglądał też na bardziej zadowolonego, bardziej ochotczo szykował się do bitwy z losem w tę noc hazardu.

I wtedy zobaczyli w odległym rogu, gdzie grano w bakarata, Cully'ego Crossa i Dianę, przechodzących przez eleganckie szare ogrodzenie i kierujących się w ich stronę. Cully także nosił Kurtkę Zwycięzcy z Vegas. Diana ubrana była w biały letni kostium, długi i przewiewny, jaki musiała nosić do pracy; dekolt lśnił perłową bielą. Merlyn pomachał w ich kierunku, a oni zdecydowanie przeszli przez kasyno. Kiedy już usiedli, Jordan zamówił drinki. Wiedział, czego chcieli.

Cully zauważył grzechoczące kieszenie Jordana.

— Hej! — zawołał. — Poszczęściło ci się bez nas?

Jordan uśmiechnął się.

— Trochę.

Wszyscy patrzyli z ciekawością, jak płacił kelnerce za drinki czerwonym pięciodolarowym sztonem. Zauważył ich spojrzenia. Nie wiedział, dlaczego tak dziwnie na niego patrzyli. Jordan był w Vegas od trzech tygodni i od tego czasu zaszły w nim niepokojące zmiany. Stracił z dziesięć kilogramów, jego popielate włosy urosły i posiwiały, twarz, chociaż wciąż przystojną, znaczyły nieprzespane noce, skóra nabrała zielonkawego odcienia. Wyglądał na wyczerpanego. Nie był tego świadom, ponieważ czuł się świetnie. Niewinnie myślał o tych ludziach, trzytygodniowych przyjaciółach, najlepszych przyjaciółach pod słońcem.

Najbardziej z tej trójki lubił Dzieciaka. Merlyna. Merlyn szczylił się tym, że jest graczem o kamiennej twarzy. Starał się nigdy nie okazywać emocji bez względu na to, czy przegrał,

czy wygrał, i przeważnie mu się to, udawało. Może z wyjątkiem szczególnie pechowej gry, wywołującej na jego twarzy wyraz zdziwionej irytacji, który tak bawił Jordana.

Merlyn Dzieciak nie mówił za wiele. Obserwował tylko wszystkich. Jordan wiedział, że Merlyn Dzieciak ma na niego oko i stara się go rozgryźć. To także go bawiło. Ciągłe go nabierał. Dzieciak szukał jakichś skomplikowanych rzeczy i nie przyjmował do wiadomości, że on, Jordan, był taki, jaki ukazywał się światu. Ale Jordan lubił być razem z nimi wszystkimi. Rozpraszali jego samotność. A ponieważ Merlyn wydawał się bardzo chętny, bardzo zaangażowany w grę, Cully nazwał go Dzieciakiem.

Cully był najmłodszy z nich. Miał tylko dwadzieścia dziewięć lat, ale dziwnym trafem wydawał się przywódcą tej grupy. Wszyscy spotkali się trzy tygodnie temu w Vegas, w tym właśnie kasynie, i mieli jedną wspólną cechę. Byli nałogowymi graczami. Ich trzytygodniową orgię uznano za niezwykłą, ponieważ procent w tym kasynie powinien był zakopać w piaskach Nevady w ciągu pierwszych kilku dni.

Jordan wiedział, że pozostali, Cully Licznik Cross i Diana, także byli nim zaciekawieni, ale nie miał nic przeciwko temu. Prawie zupełnie go nie interesowali. Dzieciak wydawał się młody i zbyt inteligentny, aby być nałogowym graczem, ale to Jordana wcale nie obchodziło. Nie leżało w kręgu jego zainteresowań.

Zdaje się, że Cully nie był obiektem godnym zainteresowania. Typowy szuler znający przeróżne sztuczki. Był w stanie zapamiętać kolejność kart w czterotaliowym rozdaniu black jacka. Ekspert od wszystkich hazardowych procentów. A Dzieciak nie. Jordan był zimnym, wyrachowanym graczem, podczas gdy Dzieciak — narwanym. Cully to profesjonalista. Ale Jordan nie miał złudzeń na swój temat. W tej chwili należał do tej samej grupy. Nałogowych graczy. Nałogowy gracz to taki człowiek, który po prostu gra, aby grać, i wie, że musi przegrać. Tak jak bohater, który idzie na wojnę i musi umrzeć. Pokażcie mi gracza, a ja wam pokażę straceńca; pokażcie mi bohatera, a ja wam pokażę jego ciało, pomyślał Jordan.

Wszyscy już mieli forszę na wykończeniu i wkrótce będą się musieli stąd zbierać, może z wyjątkiem Cully'ego. Cully był w połowie alfonssem, a w połowie konikiem. Zawsze próbował

jakichś sztuczek. Czasami namawiał krupiera black jacka do współpracy przeciw jego chlebodawcy. Niebezpieczna zabawa.

Dziewczyna, Diana, była w tej grupie odszczepieńcem. Pracowała jako dama do towarzystwa, zwabiając naiwnych klientów. Teraz miała przerwę w obstawianiu stolika do bakarata. Spędzała wolne chwile z nimi, ponieważ byli to jedyni mężczyźni w Vegas, którym, jak myślała, zależało na niej.

Praca „na wabia” miała to do siebie, że Diana grała: przegrywała i wygrywała pieniądze kasyna. Jej zarobki nie zależały od utargu — otrzymywała suchą cotygodniową pensję. Jej obecność przy stole do bakarata była konieczna tylko podczas jałowych godzin, ponieważ gracze nie chcieli siadać przy pustych stołach. Była jak lep na muchy. I dlatego ubierała się prowokująco. Miała kruczoczarne włosy długie jak pejcz, pełne usta i prawie doskonałe, długonogie ciało. Dobrze wyglądała ze swoim małym biustem. Szef rozgrywek w bakarata dawał jej numery telefonów najbardziej zapamiętałych graczy. Czasami szef czy też raczej „typujący” szeptał jej do ucha, że jeden z graczy chciałby spotkać się z nią w swoim pokoju. Miała możliwość odmowy, ale nie należało tej możliwości nadużywać. Jeśli przyjmowała propozycję, nie była wynagradzana bezpośrednio przez klienta. Szef dawał jej szton na pięćdziesiąt lub sto dolarów, który musiała wymienić w kasie kasyna. Nienawidziła tego. Często płaciła pięć dolarów swoim koleżankom, aby zrealizowały szton za nią. Kiedy Cully o tym usłyszał, zaprzyjaźnił się z nią. Lubił słabe kobiety: mógł nimi manipulować.

Jordan poprosił kelnerkę o następne drinki. Odprężył się. Szczęście w grze, i to o tak wczesnej porze, sprawiło, że poczuł się szlachetny. Tak jakby pokochał go jakiś dziwny bóg, odnalazł w nim dobro i zaczął wynagradzać za ofiary, jakie złożył, zostawiając świat doczesny. Jordan czuł szczególne braterstwo z Cullym i Merlynem.

Często razem jadali śniadania. I zawsze późnym popołudniem wypijali drinka, tuż przed rzuceniem się w wir hazardu, który mógł ich pogrążyć jeszcze tej samej nocy. Czasami zamawiali sobie lekką przekąskę o północy, aby uczcić wygraną; szczęściarz płacił rachunek i kupował dla wszystkich bilety do stołu keno. W ciągu ostatnich trzech tygodni stali się kumplami,

choć nie mieli żadnych wspólnych cech i ich przyjaźń miała wygasnąć wraz z wygaśnięciem żądzy hazardu. Ale teraz, przed rozstaniem, łączyły ich dziwne uczucia. Po udanym dniu Merlyn Dzieciak zabrał ich do hotelowego sklepu z odzieżą i kupił im szkarłatno-niebieskie Kurtki Zwycięzców z Vegas. Tego dnia wszyscy byli zwycięzcami i od tego czasu zawsze je przesadnie wkładali.

Jordan poznał Dianę wieczorem, w dniu jej największego upokorzenia; tej samej nocy po raz pierwszy spotkał Merlyna. Następnego dnia postawił jej kawę podczas jednej z przerw w pracy i długo rozmawiali, ale Jordan nie zwracał uwagi na jej monolog. Dziewczyna wyczuła ten brak zainteresowania i obraziła się na niego. Na jakiś czas ich stosunki zawisły w próżni. Później, gdy został sam w bogato wystrojonym pokoju, było mu przykro i nie mógł zasnąć. Tak jak co noc. Próbował pigulek, ale po ich zażyciu miał przerażające, koszmarnie sny.

Jazzowe combo wkrótce pojawi się na scenie; publiczność zaczynała nadchodzić. Jordan zauważył wzrok, jakim patrzyli na niego, kiedy dał kelnerce pięciodolarowy napiwek. Myśleli, że jest hojny. A on był hojny tylko dlatego, że nie miał siły dowiadywać się, ile właściwie powinien taki napiwek wynosić. Z rozbawieniem obserwował zmianę własnego systemu wartości. Zawsze był skrupulatny i sprawiedliwy, ale nigdy przesadnie hojny. Kiedyś jego świat był dokładnie wymierzony i przeliczony. Wszyscy musieli pracować na uznanie. I w końcu przestało to działać. Zdumiał go absurd opierania życia na takim rozumowaniu.

Członkowie jazzowego combo przemykali przez mrok w kierunku sceny. Wkrótce będą zagłuszać wszystkie rozmowy i ten moment był niezmiennie sygnałem dla trzech mężczyzn do rozpoczęcia męskiej gry.

— Dzisiaj jest mój szczęśliwy wieczór — rzekł Cully. — Widziałem kominiarza.

Jordan uśmiechnął się. Zawsze tak reagował na entuzjazm Cully'ego. Jordan znał tylko jego pseudonim: Cully Licznik, imię, które zdobył przy stoliku do black jacka. Jordan go lubił, ponieważ nie zamykała mu się jadaczka i rzadko trzeba było odpowiadać na pytania. Dlatego był niezbędny w grupie: Jordan

i Merlyn Dzieciak nigdy dużo nie mówili. Diana — bakaratowy wabik — uśmiechała się, ale też rzadko się odzywała.

Drobna, delikatna twarz Cully’ego jaśniała entuzjazmem.

— Godzinę będą przy kościach — powiedział. — Wyrzucę setki numerów, ale ani jednej siódemki. Możecie na mnie liczyć, chłopaki.

Combo rozpoczęło mocnym akordem, jakby na potwierdzenie jego słów. Cully uwielbiał kości, chociaż największymi umiejętnościami wykazywał się przy liczeniu całego rozdania black jacka. Jordan uwielbiał bakarata, ponieważ nie wymagał ani liczenia, ani umiejętności. Merlyn kochał ruletkę: była to dla niego prawie magiczna, mityczna gra. Ale Cully ogłosił, że dzisiaj ma szczęśliwą rękę do kości i dlatego wszyscy będą grać razem z nim, aby przynieść mu szczęście. Wstali więc od stolika, pochylili się nad Cullym i dotknęli jego kurtki, aby czar kominiarza przeszedł również na nich.

— Jordy ma szczęśliwą rękę do bakarata — odezwała się po raz pierwszy Diana. — Może powinniście z nim zagrać.

— Nie wyglądasz mi na takiego — powiedział Merlyn do Jordana.

Wspomnienie o szczęściu kogoś z grupy było wbrew regułom. Mogłoby to przynieść mu pecha albo zaczęto by go naciągać na pożyczkę. Ale Diana na tyle dobrze знаła już Jordana, że wiedziała, iż nie ulega żadnym hazardowym przesądom.

Cully Licznik potrząsnął głową.

— Mam przecucie — rzekł. Jego prawa dłoń wykonała charakterystyczny gest gracza w kości.

Muzyka przybrała na sile; nie słyszeli już swoich słów. Dźwięki orkiestry wymiotły ich z ciemnej świątyni wprost do jaśniejszej sali gry kasyna. Było tam coraz więcej graczy, ale jeszcze nieogarniętych gorączką hazardu. Diana po przerwie na kawę poszła grać w bakarata, stawiając pieniądze kasyna, aby przy stoliku nie było pusto. Jednak bez entuzjazmu. Przegrywanie i wygrywanie nie swoich pieniędzy w charakterze przynęty nudziło ją śmiertelnie. Może dlatego poruszała się jeszcze wolniej niż pozostali.

Cully prowadził. Wyglądali jak trzej muszkieterowie w szkarłatno-błękitnych Kurtkach Zwycięzców z Vegas. Cully był pewny siebie i rwał się do walki. Tuż za nim podążał nie mniej

ochoczo Merlyn, któremu także podskoczyło ciśnienie. Jordan szedł za nimi wolniej. Jego wcześniejsze wygrane sprawiły, że wydawał się cięższy od pozostałych. Cully starał się wywęszyć „gorący stół”. Jedną z charakterystycznych cech takiego stolika jest niewielka ilość sztonów w banku. W końcu poprowadził ich do stołu przy taśmie i sam przygotował się do pierwszego rzutu. Zrobili małe zakłady i w końcu Cully wziął pieścizotliwie do ręki czerwone kostki.

Dzieciak postawił dwadzieścia, Jordan dwieście, a Cully Licznik — pięćdziesiąt. Wyrzucił szóstkę. Porobili nowe zakłady, wykupując wszystkie numery. Cully podniósł kości; był pełen entuzjazmu i pewny siebie; rzucił je mocno w drugi koniec stołu. Spojrzał z niedowierzaniem. To była najgorsza katastrofa. Siódemka. Odpadł. Bez szans na dalszą grę. Dzieciak stracił sto czterdzieści, Cully trzy razy po pięćdziesiąt. Jordan popłynął na tysiąc czterysta dolarów.

Cully wymamrotał coś pod nosem i odszedł od stołu. Do głębi wstrząśnięty, był teraz skazany na ostrożną grę w black jacka. Musiał zapamiętać kolejność wszystkich kart w rozdaniu. Czasami mu się udawało, ale to była harówka. Czasami też zapamiętywał doskonale każdą kartę i zgadywał, które zostały, dostawał dziesięć procent, po czym robił duży zakład. A czasami, robiąc duży dziesięcioprocentowy zakład, miał pecha i przegrywał. Wtedy liczył kolejne rozdanie. A ponieważ teraz jego wspaniała prawa dłoń zawiodła, Cully był bez forsy. Ten wieczór będzie dla niego koszmarem. Bardzo ostrożna gra i ani jednej przegranej.

Merlyn Dzieciak także odszedł od stolika. Również bez pieniędzy, ale także bez umiejętności pozwalających na odzyskanie przegranej. Pozostało mu tylko liczyć na łut szczęścia.

Jordan samotnie włóczył się po kasynie. Uwielbiał uczucie odosobnienia w tłumie i hazardową wrzawę. Uwielbiał być samotnym, nie będąc osamotnionym. Być przyjacielem nieznanym, których nigdy więcej nie zobaczy. Słuchać grzechotu kości.

Włóczył się po sali z black jackiem, mijając stoły w kształcie podków, ustawione w dwóch rzędach. Wsłuchiwał się w odgłos tasowanych kart. Cully nauczył jego i Merlyna wykrywać pewną sztuczkę: oszust sprawnie rozdający karty był niemal nie do rozszyfrowania, ale jeśli wyteżyło się słuch, w szumie można było usłyszeć delikatny trzask drugiej karty wysuwanej

na pierwszą pozycję. Ponieważ pierwsza karta musiała być dla dobra banku najlepsza.

Chociaż była dopiero siódma, w oczekiwaniu na występ ustawiła się długa kolejka. Właściwie nic się nie działo w kasynie. Nie było wielkich zakładów ani też wielkich zwycięzców. Jordan z rozmysłem zagrzechotał czarnymi sztonami. Następnie podszedł do prawie pustego stolika do gry w crapa i podniósł czerwone, błyszczące kości. Rozpiął wewnętrzną kieszeń kurtki i wysypał na stół garść studolarowych sztonów. Zrobił zakład o dwieście, podwoił stawkę i wykupił wszystkie numery za pięćset dolarów każdy. Trzymał kości przez przynajmniej godzinę. Po pierwszych piętnastu minutach napięcie jego rozgrzanej dłoni stało się wyczuwalne i zapełniły się miejsca przy stole. Podniósł zakłady do pięciuset, a z jego dłoni wciąż wytaczały się magiczne cyfry. Wygnał z myśli fatalną siódemkę. Zabronił jej się pokazywać. Stół nagle zapełnił się czarnymi sztonami. Kieszenie kurtki wypełniły się po brzegi. W końcu nie mógł utrzymać tego stanu koncentracji. Wypadła fatalna siódemka i kości przeszły w ręce następnego gracza. Publiczność zgotowała mu owację. Od szefa sali dostał metalowy koszyk, aby mógł zanieść sztony do kasy. Pojawili się Merlyn i Cully. Jordan uśmiechnął się do nich.

— Widzieliście te rzuty? — zapytał.

Cully potrząsnął przecząco głową.

— Tylko ostatnie dziesięć minut — odparł. — Nie wyszło ci to na dobre.

Merlyn zaśmiał się.

— Nie wierzyłem w twoje szczęście. Teraz odwołuję.

Merlyn i Cully eskortowali Jordana do kasy. Jordan był zdumiony, kiedy się okazało, że zawartość metalowego kosza przekroczyła pięćdziesiąt tysięcy dolarów. A kieszenie wciąż miał pełne.

Merlyn i Cully byli przerażeni. Cully rzekł poważnie:

— Jordy, czas, żebyś wyjechał z miasta. Jeśli tu zostaniesz, wkrótce odzyskają te pieniądze.

— Do rana daleko — zaśmiał się Jordan. Był rozbawiony tym, że jego przyjaciele traktują to poważnie. Ale zmęczenie zwyciężyło. Poczul się nagle niesłychanie wyczerpany. — Pójdę na górę i trochę się zdrzemnę — rzekł. — Spotkajmy się, chłopaki, około północy na wspaniałej kolacji, dobra?

Kasjer skończył przeliczanie i zapytał Jordana:

— Czy zechce pan wziąć gotówkę, czy czek? A może woli pan, abyśmy zatrzymali to w kasie?

— Weź czek — powiedział Merlyn.

Cully zmarszczył brwi z troską, ale wtedy zauważył, że wewnętrzne kieszenie Jordana wciąż są pełne sztonów. Uśmiechnął się.

— Czek jest bezpieczniejszy — poparł Merlyna.

Czekali w trójkę: Cully, Jordan patrzący w głąb kasyna i osłaniający go Merlyn. W końcu ponownie pojawił się kasjer, niosąc złoty, o ząbkowanym brzegu czek dla Jordana.

Trzej mężczyźni jak na komendę odwrócili się. Wyglądało to, jakby wykręcili piruety. Ich kurtki błyszczały szkarłatno-niebieskimi barwami, odbijając światła nad stolikami do gry w keno. Merlyn i Cully wzięli Jordana pod łokcie i wepchnęli do jednego z gwiazdziste rozchodzących się korytarzy, w kierunku jego pokoju.

Miękki, drogi pokój w jaskrawych barwach. Złote ciężkie zasłony i olbrzymie łóżko obszyte srebrnym aksamitem. Pokój wymarzony dla szulera. Jordan wziął gorącą kąpiel i próbował czytać. Nie mógł zasnąć. Neonowe światła Stripu, przenikające przez okna, zatrzymywały się kolorami tęczy na przeciwległej ścianie. Jordan szczerzej zaciągnął zasłony, ale wydawało mu się, że wciąż słyszy słaby jazgot dobiegający z kasyna jak odgłos fali na odległej plaży. Zgasił światła i położył się do łóżka. To był niezły bajer, ale jego umysł nie dał się oszukać. Nie mógł zasnąć.

Wtedy Jordan poczuł znajomy strach i niepokój. Jeśli zaśnie, umrze. Rozpaczliwie łaknął snu, a jednak nie mógł zasnąć. Owładnął nim lęk, był zbyt przerażony. Nigdy nie potrafił dostrzec prawdziwej przyczyny własnego strachu.

Kusiło go znowu, aby wziąć pigułki na sen; zrobił już tak na początku miesiąca, wtedy mógł spać, ale dręczyły go koszmary, z którymi nie był w stanie sobie poradzić. Następnego dnia zawsze był przygnębiony. Wolał więc nie zasypiać. Tak jak teraz.

Jordan gwałtownym ruchem zapalił światło. Wstał z łóżka i ubrał się. Opróżnił wszystkie kieszenie i portfel. Odpiął wewnętrzne i zewnętrzne kieszenie kurtki, odwrócił ją do góry nogami i wytrząsnął czarne, zielone i czerwone sztony na aksamitowe

posłanie. Studolarowe sztony utworzyły duży stos udekorowany spiralnymi czerwono-zielonymi wzorami. Dla zabicia czasu zaczął liczyć pieniądze i sortować sztony. Zajęło mu to prawie godzinę.

Miał ponad pięć tysięcy dolarów w gotówce, osiem tysięcy dolarów w czarnych studolarowych sztonych, sześć tysięcy w dwudziestopięciodolarowych zielonych i prawie tysiąc dolarów w pięciodolarowych czerwonych. Był zdumiony. Wyjął duży czek z hotelu Xanadu i zaczął studiować czarne i czerwone napisy oraz kwotę wypisaną na zielono. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Przyglądał mu się uważnie. Na czeku widniały trzy różne podpisy. Szczególnie jeden, duży i wyraźny, wzbudził jego zainteresowanie. Był to podpis Alfreda Gronevelta.

Nie opuszczało go zdziwienie. Przypomniał sobie, jak zamieniał sztony na gotówkę, kilkakrotnie w ciągu dnia, ale nie zdawał sobie sprawy, że było tego około pięciu tysięcy dolarów. Rzucił się na łóżko, a wszystkie pracowicie ułożone stosy sztonych rozsypały się.

Teraz odczuł zadowolenie. Cieszył się, że miał dostateczną ilość pieniędzy, aby zostać w Vegas, że nie będzie musiał jechać do Los Angeles, aby podjąć jakąś pracę. Nowa kariera, nowe życie, może nowa rodzina. Jeszcze raz przeliczył wszystkie pieniądze i dodał do nich wartość czeku. Miał siedemdziesiąt jeden tysięcy dolarów. Będzie mógł grać przez wieczność.

Wyłączył lampkę, aby móc leżeć w ciemności, otoczony pieniędzmi dotykającymi jego ciała. Starał się zasnąć, aby zwalczyć grozę, która zawsze dopadała go w tym zaciemnionym pokoju. Słyszał, jak serce bije mu coraz szybciej, aż w końcu zmusiło go to do ponownego zapalenia lampki i wstania z łóżka.

Wysoko nad dachami miasta Alfred Gronevelt, właściciel hotelu, podniósł słuchawkę telefonu. Zadzwoił do sali gry w kości i zapytał, jak daleko posunął się Jordan. Powiedziano mu, że tego wieczoru Jordan zniweczył szanse kasyna na zysk. Następnie Gronevelt połączył się z centralą i poprosił o Xanadu Pięć. Czekał. Będzie to trwać kilka minut, zanim gracz numer pięć dotrze do wszystkich zakamarków hotelu i rozejrzy się wśród graczy. Dla zabicia czasu wyglądał z okna swego apartamentu, patrząc na neon w kształcie grubego, czerwono-zielonego pytona, który piał się po budynku Stripu. I jeszcze dalej

na czarne pustynne góry, otaczające tysiące graczy, starających się rozbić bank, pocących się na samą myśl o zieloniutkich dolarach, złożonych, o ironio, w kasach kasyna. Przez te lata kości wielu graczy spoczęły w brzuchu neonowego gada.

Wtedy usłyszał w słuchawce głos Cully'ego. Cully był Xanadu Pięć. (Gronevelt był Xanadu Jeden).

— Cully, twój kumpel nieźle nas naciął... — stwierdził Gronevelt — jesteś pewien, że jest w porządku?

— Tak, panie Gronevelt — mówił cicho Cully. — To mój kumpel, równiacha. Zostawi forszę, zanim wyjedzie...

— Niech ma wszystko, czego sobie zażyczy. Załatw mu to. Nie pozwól, żeby wałęsał się po ulicach i rozdawał naszą forszę innym. Miej go na oku.

— Niech się pan nie martwi — odparł Cully.

Gronevelt dosłyszał w jego głosie coś zabawnego. Przez chwilę myślał o nim. Cully był jego szpiegiem, sprawdzającym pracę kasyna i rozdających w black jacka, którzy grali wraz z nim przeciwko firmie. Miał wielkie plany co do niego, ale zajmie się tym, kiedy rozwiąże obecny problem. Teraz miał co innego na głowie.

— A co z tym drugim facetem z twojej bandy, Dzieciakiem? — zapytał Gronevelt. — Co knuje? Co, do diabła, robi tutaj przez trzy tygodnie?

— Małe piwo — odpowiedział Cully. — To dobry dzieciak. Niech się pan nie martwi, panie Gronevelt. Wiem, jak się gra w te klocki.

— Dobra.

Kiedy Gronevelt odwieszał słuchawkę, na jego twarzy zagościł uśmiech. Cully nie wiedział, że szefowie sal narzekali na niego, gdyż był artystą w zapamiętywaniu kart. Dyrektor hotelu narzekał na upór Merlyna i Jordana, z jakim zajmowali pokoje, niezbędne dla narybku co tydzień przybywającego do Vegas. A tylko Gronevelt wiedział, że intrygująca przyjaźń tych trzech mężczyzn i to, jak się zakończy, będzie prawdziwym sprawdzianem dla Cully'ego.

Jordan, siedząc w swoim pokoju, zwalczył pragnienie zejścia na dół, do kasyna. Usadowił się w wygodnym fotelu i przypalił papierosa. Wszystko było w jak najlepszym porządku. Miał

przyjaciół, poszcześciło mu się, był wolny. Tylko trochę zmęczony. Potrzebował długiego wypoczynku daleko stąd.

Myślał: Cully i Diana, i Merlyn. Teraz jego najlepsi przyjaciele. Uśmiechnął się do tej myśli.

Wiedzieli o nim bardzo dużo. Spędzili razem długie godziny w barze kasyna, plotkując, odpoczywając między okresami nużącego hazardu. Jordan nigdy nie był skryty. Odpowiadał na każde pytanie, chociaż sam ich nie zadawał. Dzieciak zawsze zadawał pytania tak poważnie, z tak niewymuszonym zainteresowaniem, że Jordana nigdy nie uraziła ich natarczywość.

Dla zabicia czasu wyciągnął z szafy walizkę, aby się spakować. Pierwszą rzeczą, która przyciągnęła jego wzrok, był mały rewolwer, kupiony jeszcze w domu. Nigdy nie powiedział przyjaciołom, że ma broń. Żona opuściła go i zabrała dzieci. Opuściła go dla innego mężczyzny, a jego pierwszym odruchem była chęć zabicia tego faceta. Był to odruch tak obcy jego prawdziwej naturze, że nawet teraz go dziwił. Oczywiście, niczego nie zrobił. Problem stanowiło pozbycie się broni. Najlepiej byłoby rozebrać go na części i wyrzucić. Nie chciał, by ktokolwiek się nim zranił. Ale na razie włożył broń do walizki i przykrył ubraniami. Po chwili znów usiadł.

Nie był pewien, czy chce opuścić Vegas, jasno oświetlone sale kasyna. Było mu tu wygodnie, był tutaj bezpieczny. Brak troski o wygraną lub stratę stanowił jego magiczny płaszcz, ochronę przed losem. I, przede wszystkim, kasyno kładło kres wszystkim pozostałym ranom i pułapkom życia.

Uśmiechnął się znowu, myśląc o Cullym, martwiącym się o jego wygraną. Co on właściwie zrobi z pieniędzmi? Najlepiej byłoby posłać je żonie. Była dobrą kobietą, dobrą matką, z klasą i charakterem. Fakt, że opuściła go po dwudziestu latach małżeństwa, aby poślubić swego kochanka, nie zmieniał tego i nie mógł zmienić. W tym momencie, po wielu miesiącach, Jordan dostrzegł słuszność jej decyzji. Miała prawo do szczęścia. Prawo do pełni życia. Przy nim się dusiła. Nie dlatego, że był złym mężem. Po prostu — nieodpowiednim. Był dobrym ojcem. Zawsze spełniał swoje obowiązki. Jego jedyną wadą było to, że po dwudziestu latach nie potrafił jej już uszczęśliwić.

Jego przyjaciele znali tę opowieść. Trzy tygodnie spędzone w Vegas wydawały się latami i z przyjaciółmi potrafił roz-

mawiać tak jak z nikim więcej. Przekonał się o tym, pijąc z nimi nad ranem drinki w barze.

Wiedział, że uważają go za człowieka nieprzejednanego. Kiedy Merlyn zapytał go o prawo do odwiedzania dzieci, Jordan wzruszył ramionami. Merlyn zapytał, czy kiedykolwiek zobaczy jeszcze żonę i dzieci, a Jordan starał się odpowiedzieć uczciwie.

— Raczej nie — rzekł — nie potrzebują mnie.

Wtedy Merlyn Dzieciak wyskoczył na niego:

— A ty, ty ich nie potrzebujesz?

Jordan beztrząsco się roześmiał. Ubawił go oskarżycielski ton Merlyna. Wciąż śmiejąc się, odpowiedział:

— Nie, nie potrzebuję ich. — I wtedy po raz pierwszy odplącił Dzieciakowi za wtykanie nosa w nie swoje sprawy. Popatrzył mu prosto w oczy i powiedział chłodnym tonem: — Nie ma tam nic więcej niż to, co wiesz. Trzeba przyjmować życie takim, jakie jest. To nic trudnego. Ludzie nie są aż tak ważni dla innych ludzi. Oczywiście, kiedy się dorośnie, tak to jest.

Merlyn odpowiedział mu spojrzeniem, spuścił wzrok, a następnie rzekł cicho:

— To dlatego nie śpisz po nocach, prawda?

— Dokładnie dlatego.

— Nikt w mieście nie śpi — wtrącił niecierpliwie Cully. — Po prostu weź kilka pigułek.

— Mam po nich koszmary — powiedział Jordan.

— Nie, nie — zaprotestował Cully. — To je miałem na myśli. — I wskazał na trzy prostytutki pijące drinki przy stole.

Jordan zaśmiał się. Po raz pierwszy usłyszał taki idiom z Vegas. Teraz zrozumiał, czemu czasami Cully przerywał grę, ogłaszając wszem wobec, że idzie wziąć parę pigułek.

Jeśli jakaś pora była bardziej niż inne odpowiednia do brania spacerujących pigułek, to była nią dzisiejsza noc. Jordan próbował już tego w pierwszym tygodniu pobytu. Zawsze mógł to zrobić, ale gdy było już po wszystkim, nigdy nie czuł spadku napięcia. Pewnej nocy dziwka, przyjaciółka Cully'ego, namówiła go na „bliźniaczki” i przyprowadziła koleżankę. Za jedyną dodatkową pięćdziesiątkę mogły to zrobić super, ponieważ, jak mówiła, był klawym facetem. Zgodził się. Obecność tyłu otaczających go piersi dała mu dużą satysfakcję. Infantylną satysfakcję. W końcu jedna dziewczyna tuliła jego głowę w piersiach,

podczas gdy druga go ujeżdżała. W momencie kulminacyjnym jego ciało w końcu uległo. I wtedy, nie zwracając uwagi na drugą dziewczynę, posłał nikły uśmiech tej, na której piersiach spoczywała jego głowa. Wówczas zrozumiał, że wypadł już z obiegu. Był skończony. A one mogły się zająć tym, co naprawdę lubiły. Zobaczył, że druga dziewczyna rzuciła się na tę pierwszą z namiętnością o wiele bardziej przekonującą od okazanej jemu. Nie był wściekły. Cieszył się, że miały coś z tego. Wydawało się to naturalne. Dał im dodatkową stówę. Myślały pewnie, że to w uznaniu dla nich, ale naprawdę była to zapłata za nikły, sekretny uśmiech — za tę słodką zdradę. A kiedy jeszcze dziewczyna leżąca na plecach w ostatnim spazmie rozkoszy po omacku wyciągnęła rękę, by uchwycić dłoń Jordana, wzruszył się do łez.

Spacerujące pigułki robiły dla niego, co mogły. Były śmietanką tego kraju. Dawały uczucie, trzymały za rękę, szły na obiad i na występ, trochę grały, ale nigdy nie starały się nikogo oszukać ani wyrolować. Sprawiały wrażenie, że naprawdę im zależy, po czym rozpierdały ci umysł. Wszystko za jedyne sto dolarów. Jak to mówił Cully: za „pszczołkę”. To okazja. O Chryste, to naprawdę okazja. Ale on nie pozwalał się zwieść ani przez jedną chwilę. Umyły go przed wyjściem jak bardzo chorego mężczyznę przykutego do szpitalnego łóżka. No cóż, były lepsze niż zwykłe pigułki na sen, ponieważ nie miał po nich koszmarów. Ale one także nie mogły go uspić. Tak naprawdę nie spał już od trzech tygodni.

Jordan ze zmęczenia osunął się na wezglowie łóżka. Nie pamiętał, kiedy wstał z fotela. Powinien zgasić światło i postarać się zasnąć. Ale mogła powrócić groza. Nie było to uczucie powstałe w umyśle, ale fizyczny lęk nie do zwalczenia, obecny nawet wtedy, kiedy jego umysł funkcjonował bez zarzutu i zastanawiał się, co się dzieje. Nie miał wyboru. Musiał zejść na dół do kasyna. Wrzucił do walizki czek na pięćdziesiąt tysięcy. Będzie stawał tylko gotówkę i sztony.

Jordan zgarnął wszystko z łóżka i wepchnął do kieszeni. Wyszedł z pokoju i skierował się do kasyna. O tej porze przy stolikach zostali tylko prawdziwi gracze. Porobili już interesy, skończyli jeść, zabrali żony na występy i położyli je spać albo

usadzili z kilkoma sztonami przy kole ruletki, aby nie przeszkadzały. A może przespali się z kimś, zaciupciali po wykonaniu koniecznych społecznych zadań. Wszyscy rzucali wyzwanie losowi. Z pieniędzmi w garści stali teraz w pierwszym szeregu przy stolikach do crapa. Szeffowie sal czekali na nich z piórami, aby goście mogli podpisać pierwszy, drugi lub trzeci czek. Po północy ci mężczyźni wypisywali na czekach fortuny. Nawet nie wiedzieli dlaczego. Jordan spojrzął w odległy kąt kasyna. Eleganckie szare ogrodzenie oddzielało długi owalny stół do bakarata od głównej części kasyna. Przy wejściu stał uzbrojony strażnik, ponieważ zakładów dokonywano wyłącznie w gotówce. Po obu stronach pokrytego zielonym sukniem stołu stały dwa wysokie krzesła. Na tych krzesłach siedzieli dwaj mężczyźni sprawdzający krupierów i wypłaty. Wieczorowe stroje, jakie nosili wszyscy pracownicy kasyna przy stole do bakarata, z trudem kamuflowały ich profesjonalną koncentrację. Obserwowali oni każdy ruch trzech krupierów i szefa sali, który prowadził grę. Jordan począł iść w ich kierunku, aż zobaczył odcinające się postaci krupierów.

Czterech świętych w czarnych krawatach. Śpiewali hosanny zwycięzcom i treny przegranym. Przystojniaki, o szybkich ruchach i kontynentalnym szyku, sławili grę, którą prowadzili. Ale zanim Jordan zdołał wejść do środka, zatrzymali go Cully i Merlyn. Cully rzekł cicho:

— Za piętnaście minut zamykają, nie idź tam. — Grę w bakarata kończono o trzeciej.

I wtedy jeden ze świętych w czerni zawołał do Jordana:

— Robimy ostatnie rozdanie, panie J.A. Rozdanie banku. — Zaśmiał się. Jordan widział karty rozkładane na stole, niebieskie koszulki ułożone przed tasowaniem, ukazujące skryte, blade twarze.

— A co z moimi kumplami? — zapytał Jordan. — Ja wyłożę pieniądze i zagramy na trzy miejsca. — Oznaczało to, że przy dwutysięcznodolarowym limicie Jordan będzie obstawiał sześć tysięcy dolarów.

— Zwariowałeś? — zapytał Cully. — Idź do diabła.

— Nic nie musisz robić. Po prostu siądź tam. Dam ci dziesięć procent od wygranej.

— Nie. — Cully odsunął się od niego i oparł o barierkę przed stołem do bakarata.

— Merlyn, a ty usiądziesz? — spytał Jordan.

Merlyn Dzieciak uśmiechnął się do niego i odpowiedział spokojnie:

— Tak, usiądę.

— Masz dziesięć procent — potwierdził Jordan.

— Jasne, świetnie.

Razem przeszli przez wejście i usiedli przy stole. Diana miała właśnie świeżo rozdane karty i Jordan usiadł przy niej, aby mieć następne rozdanie. Diana skłoniła ku niemu głowę.

— Jordy, nie graj już więcej — poprosiła.

Ale on zrobił już zakład z jej rozdania. Diana przegrała, przegrała dwadzieścia dolarów kasyna, straciła bank i przekazała rozdanie Jordanowi.

Jordan był zajęty opróżnianiem kieszeni swojej Kurtki Zwycięzcy z Vegas. Były tam sztony czarne i zielone, oraz studolarowe banknoty. Położył znaczną część przed Merlynem, siedzącym na krześle numer sześć. Wtedy przejął rozdanie i położył dwadzieścia czarnych sztonów w przegródce w banku.

— Ty też — powiedział do Merlyna. Merlyn odliczył dwa tysiące dolarów i także włożył je do przegródki bankiera.

Krupier uniósł dłoń, aby wstrzymać rozdanie Jordana. Rozejrzał się wokół, sprawdzając, czy wszyscy zrobili już zakłady. Opuścił dłoń i wyśpiewał Jordanowi:

— Karta dla gracza.

Jordan rozdał karty. Jedną dla krupiera i jedną dla siebie. I znowu: jedną dla krupiera, jedną dla siebie. Krupier rozejrzał się jeszcze raz i rzucił karty w kierunku najwyższego obstawiającego. Człowiek ten zerknął ostrożnie na karty, uśmiechnął się i odwrócił je do góry. Dostał niezwykłą dziewiątkę. Jordan odkrył karty nawet bez patrzenia na nie. Miał dwie figury. Zero. Wtopił. Jordan podał karty Merlynowi. Merlyn podał je następnemu graczowi. Przez chwilę Jordan chciał je wziąć, ale powstrzymał go wyraz twarzy Merlyna. Nic nie mówili.

Złotobrazowe pudełko krążyło wokół stołu. Najpierw wygrał bank, potem gracz. Nie oznaczało to żadnych konkretnych wygranych dla żadnej ze stron. Jordan naciskał na bank, stracił już prawie dziesięć tysięcy dolarów. Merlyn wciąż nie obstawiał. W końcu Jordan dostał karty z powrotem.

Zrobił zakład, dwutysięcznodolarowy limit. Sięgnął po pieniądze Merlyna, zgarnął kilka banknotów i rzucił je do prze-

grody banku. Zauważył, że Diany już nie było koło niego. Był gotów. Poczł olbrzymi przyplłw mocy. Wiedział, że potrafi zmusić karty, aby pojawiły się we właściwej kolejności.

Spokojnie i bez emocji Jordan przebił dwadzieścia cztery rozdania. Przy ósmym rozdaniu wokół stołu do bakarata zebrał się tłum. I każdy z graczy obstawiał bank, igrając z losem. Przy dziesiątym rozdaniu krupier sięgnął i wyciągnął specjalne, pięćsetdolarowe sztony. Były cudownie kremowobiałe ze złotymi nitkami, przebiegającymi przez środek.

Cully obserwował tę scenę, przyciśnięty do ogrodzenia. Diana stała obok niego. Jordan pomachał w ich kierunku. Po raz pierwszy opanowało go podniecenie. Pewien gracz z Ameryki Południowej, po przeciwnej stronie stołu, przy trzynastym rozdaniu wykrzyknął: „Maestro!”. I wtedy nad stołem zaległa głucha cisza, a Jordan dalej naciskał.

Plłnnymi ruchami wyciągał bez wysiłku karty. Ani razu karta nie wypadła ani nie wysliznęła się, kiedy wyciągał je z drewnianego pudełka. Nie zdarzyło się też, by przypadkowo odkrył jej białe lico. Odkładał swoje karty w tym samym rytmie, bez patrzenia, pozwalając głównemu krupierowi ogłaszać numery i trafienia. Kiedy krupier zawołał: „Karta dla banku!”, Jordan znów wyciągnął ją gładko i miękko, bez emocji. I w końcu przy dwudziestym piątym rozdaniu przegrał na rzecz gracza, obstawianego przez krupiera, ponieważ wszyscy obstawiali bank.

Jordan przesunął pudełko do Merlyna, który się wstrzymał i popchnął je do następnego gracza. Merlyn także miał przed sobą złote, pięćsetdolarowe sztony. Ponieważ rozbili bank, musieli zapłacić pięć procent od wygranej kwoty. Krupier naliczył tę opłatę na podstawie numerów miejsc. Było tego pięć tysięcy dolarów. Oznaczało to, że Jordan wygrał sto tysięcy dolarów w jednym rozdaniu. I każdy gracz przy tym stole miał udział w jego wygranej.

Dwóch sprawdzających podniosło się z krzesel i zadzwoniło do dyrektora kasyna i właściciela hotelu, oznajmiając im złe wieści. Pechowa noc przy stole do bakarata była jednym z niezliczonych poważnych zagrożeń dla zysków kasyna. Nie oznaczało to nic poważnego na dłuższą metę, ale należało mieć oko na tego typu katastrofy. Gronevelt we własnej osobie zjechał windą ze swego apartamentu i cicho przekroczył ogrodzony kąt do gry w bakarata. Stanął w rogu z szefem sali i obserwował.

Jordan dostrzegł go kątem oka; wiedział kim jest. Merlyn kiedyś mu go pokazał.

Pudełko podróżowało po stole, pozostając w rękach banku. Jordan zarobił trochę pieniędzy, po czym znów dostał pudełko w swoje ręce.

Tym razem, zupełnie bez wysiłku, poruszając dłońmi z gracją, osiągnął marzenie każdego gracza w bakarata. Opróżnił pudełko. Nie została ani jedna karta. Przed Jordanem piętrzyły się stosy złotych sztonów.

Jordan rzucił cztery kremowobiałe sztony w kierunku głównego krupiera.

— To dla was, panowie — powiedział.

— Panie Jordan, może by pan poczekał, zaraz wypiszemy panu czek — zaproponował szef sali bakarata.

Jordan wepchnął duży zwitek studolarowych banknotów do kieszeni kurtki, to samo uczynił z czarnymi sztonami, pozostawiając morze kremowobiałych pięćsetdolarowych sztonów na stole.

— Może mi je pan przeliczyć — rzekł do szefa sali. Wstał, aby rozprostować kości, i rzucił od niechcenia: — Czy stać was na jeszcze jedną partyjkę?

Szef sali zawahał się i spojrzął na dyrektora kasyna, stojącego z Groneveltem. Dyrektor pokręcił głową na nie. Już dawno sklasyfikował Jordana jako nieuleczalnego hazardzistę. Jordan na pewno zostanie w Vegas, aż do wyczerpania wszystkich funduszy. Ale dzisiejsza noc należała do niego. Nie było jednak powodu, aby ją przedłużyć. Jutro karty ułożą się inaczej. Nie może ciągle mieć szczęścia, a wtedy sam się załatwi. Dyrektor kasyna widział już takich wcześniej. Życie w kasynie składa się z niezliczonych nocy, a każda z nich ma swój kres.

— Koniec gry — zarządził dyrektor kasyna.

Jordan uklonił się. Skierował wzrok na Merlyna i powiedział.

— Dobra nasza, dostaniesz swoje dziesięć procent.

Ku swemu zdziwieniu zobaczył prawie żal w oczach Merlyna. I Merlyn powiedział:

— Nie.

Krupierzy liczyli złote sztony Jordana, kładąc je przed kontrolerami, szef sali i dyrektor kasyna także obserwowali tę operację. Po chwili zakończyli pracę. Szef sali podniósł wzrok i oznajmił głosem pełnym uwielbienia:

— Wygrał pan dwieście dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów, panie J. Czy wypisać panu czek?

Jordan przytaknął. Wewnętrzne kieszenie były wciąż wypchane sztonami i banknotami. Ale nie chciał się ich pozbywać.

Pozostali gracze po oznajmieniu dyrektora kasyna, że nie będzie następnego rozdania, odeszli od stołu. Szef sali coś szeptał. Cully przeszedł przez ogrodzenie i stanął przy Jordanie, tak samo jak Merlyn. Wszyscy trzej wyglądali jak członkowie ulicznego gangu w swoich Kurtkach Zwycięzców z Vegas.

Jordan był naprawdę zmęczony, zbyt zmęczony, aby myśleć o grze w crapa czy ruletkę. Black jack był zbyt wolny ze swoją pięćsetdolarową stawką.

— Nie będziesz już chyba grał — odezwał się nagle Cully. — Jezu, nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Teraz możesz już tylko umoczyć. Nie możesz mieć aż tyle szczęścia. — Jordan przytaknął zgodnie.

Strażnik zabrał tacę ze sztonami Jordana i notę dla kasjera. Diana podeszła do nich i pocałowała Jordana. Wszyscy byli niesamowicie podnieceni, a Jordan — szczęśliwy. Był prawdziwym bohaterem. I to nikogo nie zabijając ani nawet nie uszkadzając. Tak po prostu. Wystarczyło postawić mnóstwo pieniędzy na talię kart. I wygrać.

Musieli zaczekać na czek od kasjera. Merlyn kpiąco skomentował całe wydarzenie:

— Jesteś bogaty, możesz robić wszystko, co chcesz.

— Musisz opuścić Vegas — poradził mu Cully.

Diana ścisnęła dłoń Jordana. Ale on patrzył na Gronevelta stojącego razem z dyrektorem i dwoma kontrolerami, którzy wstali ze swych krzeseł. Szeptali coś do siebie.

— Xanadu Numer Jeden — rzekł nagle Jordan. — Co byś powiedział na małą partyjkę?

Gronevelt uczynił kilka kroków w jego kierunku i stanął nagle w pełnym świetle. Jordan spostrzegł, że jest on starszy, niż myślał. Miał około siedemdziesiątki, ale był żwawy i zdrowy. Włosy, koloru stali, były gęste i starannie zaczesane. Na twarzy miał czerwonawą opaleniznę. Jego sprężystej postaci nie przygniatały przeżyte lata. Użycie przez Jordana kodu telefonicznego nie wywołało większej reakcji.

Gronevelt uśmiechnął się do niego. Nie był wcale wściekły. Zareagował jednak na wyzwanie, które przypomniało mu mło-

dość, czas, kiedy sam był nałogowym graczem. Teraz jego świat był bezpieczny i życie nie wymykało mu się spod kontroli. Przynosiło mu wiele przyjemności, obowiązków, trochę niebezpieczeństwa, ale bardzo rzadko prawdziwy dreszcz emocji. Słodko byłoby zakosztować tego jeszcze raz, a poza tym chciał zobaczyć reakcję Jordana, dowiedzieć się, co go stymuluje.

— Ma pan czek na dwieście dziewięćdziesiąt tysięcy patyków, prawda? — zapytał cicho Gronevelt.

Jordan przytaknął.

— Zrobimy jeszcze jedną partię — ciągnął Gronevelt. — Będziemy grać we dwóch. Wszystko albo nic. Ale będzie pan musiał obstawiać pozycję gracza, a nie banku.

Wszyscy zamarli bez ruchu. Krupierzy spojrzeli na Gronevelta ze zdumieniem. Ryzykował nie tylko olbrzymią kwotą pieniędzy wbrew przepisom kasyna, ale i utratę licencji na prowadzenie kasyna, jeśliby Stanowa Komisja do spraw Hazardu dowiedziała się o zakładzie. Gronevelt uśmiechnął się do nich.

— Potasujcie karty — powiedział. — Zagramy tę partię.

Szef sali podszedł do Jordana i wręczył mu żółty, podłużny czek o postrzępionych brzegach. Jordan przez chwilę mu się przyglądał, po czym położył go w przegródce gracza i rzekł:

— Zakład stoi.

Merlyn cofnął się, oparł o jeden ze słupków ogrodzenia i znów z uwagą go obserwował. Diana, kompletnie rozbita, odeszła kilka kroków na bok. Jordan był zadowolony, widząc ich zdumienie. Jediną rzeczą, której nie lubił, było zakładanie się o własne szczęście. Nie spodobał mu się pomysł wyciągania kart z puli i zakładania się przeciwko sobie. Odwrócił się do Cully'ego.

— Cully, rozdaj dla mnie karty — poprosił.

Ale Cully cofnął się przerażony. Spojrzał na krupiera, który wyciągnął karty z pojemnika pod stołem i układał je do tasowania. Wzdrygnął się, zanim spojrzął w twarz Jordanowi.

— Jordy, to zakład frajera — powiedział cicho, jakby nie chciał, aby ktokolwiek słyszał jego słowa. Rzucił krótkie spojrzenie obserwującemu go Groneveltowi. — Posłuchaj Jordy, bank ma dwuipółprocentowy margines na gracza przez cały czas gry. W każdym rozdaniu. Dlatego facet, który obstawia bank, musi płacić pięć procent prowizji. Ale teraz kasyno trzyma bank. Przy zakładzie takim jak ten, prowizja nic nie znaczy.

Lepiej jest mieć dwa i pół procent w zależności od wyniku rozdania. Zdajesz sobie z tego sprawę, Jordy? — Cully przemawiał do niego spokojnym tonem, tak jak gdyby tłumaczył coś dziecku.

Jordan zaśmiał się tylko.

— Wiem o tym — odparł. Powiedział prawie, że liczył na to, ale nie była to do końca prawda. — To jak, Cully, zrobisz to dla mnie? Nie chcę obstawiać przeciwko sobie.

Krupier potasował karty partiami, po czym złożył je razem. Podał Jordanowi pustą żółtą plastikową kartę, aby przełożył. Jordan spojrzął na Cully'ego, ale ten wycofał się bez słowa. Jordan sięgnął po kartę i rozerwał opakowanie talii. Wszyscy obecni zbliżyli się do stołu. Gracze, widząc nowe rozdanie, starali się dostać do środka, ale strażnik odprawiał wszystkich z kwitkiem. Rozległy się protesty. Nagle zapadła cisza. Wszyscy stłoczyli się na zewnątrz ogrodzenia. Krupier odwrócił licem do góry pierwszą kartę, wyciągniętą z pudełka. Była to siódemka. Wyciągnął siedem kart i schował je do wlotu. Następnie podsunął pudełko Jordanowi przez stół. Jordan usiadł na swoim miejscu.

— Tylko jedno ciągnięcie — powiedział Gronevelt.

Krupier wstrzymał ruch i rzekł ostrożnie:

— Panie J., obstawia pan gracza, rozumie pan? Karta, którą wyciągnę, będzie obstawiana przez pana. Karta, którą pan wyciągnie jako bank, będzie tą, przeciwko której pan obstawia.

Jordan uśmiechnął się.

— Zrozumiałem.

Krupier zawahał się.

— Jeśli pan woli, mogę wziąć z puli.

— Nie — odparł Jordan — tak jest dobrze. — Był naprawdę podniecony. Nie tylko pieniędzmi, ale mocą, która wypływała z niego i wypełniała ludzi i kasyno.

— Jedna karta dla mnie, jedna dla pana — rzekł krupier, podnosząc dłoń. — Po czym znowu jedna karta dla mnie, jedna dla pana, proszę. — Dramatycznie wstrzymał głos, wyciągnął rękę w kierunku Jordana i powiedział: — Karta dla gracza.

Jordan szybko i zręcznie wyciągnął karty z niebieskimi koszulkami z pudełka. Jego ręce znów wykonywały zgrabne, płynne ruchy. Nad zielonym sukniem pokonywały odległość do oczekujących dłoni krupiera, który szybko odwrócił karty licem

do góry i zaniemówił z wrażenia, widząc niezwyciężoną dziewiątkę. Jordan nie mógł przegrać. Stojący za nim Cully wykrzyknął:

— Oczywiście, dziewięć!

Po raz pierwszy Jordan przed odwróceniem spojrzął na swoje dwie karty. Grał teraz dla Gronevelta i miał nadzieję na złą kartę. Uśmiechnął się i odwrócił kartę banku.

— Dziewiątka — powiedział.

I była to dziewiątka. Zakład zakończył się remisem.

— Mam zbyt wiele szczęścia — roześmiał się Jordan. Spojrzał na Gronevelta. — Jeszcze raz? — zapytał.

Gronevelt potrząsnął głową.

— Nie — odparł. Następnie zwrócił się do krupiera i szefa sali: — Zamykamy.

Gronevelt wyszedł zza ogrodzenia. Podobał mu się zakład, ale wiedział zbyt wiele, aby zbliżyć się do niebezpiecznej granicy. Wystarczy raz na jakiś czas dreszcz emocji. Jutro będzie musiał stawić czoła groźniejszemu przeciwnikowi — Komisji do spraw Hazardu. Poza tym czekała go długa rozmowa z Cullym. Może mylił się co do niego.

Cully, Merlyn i Diana otoczyli Jordana jak obstawa i wyprowadzili go z sali bakarata. Cully wziął żółty czek z ząbkowanym brzegiem z zielonego stołu, wepchnął go Jordanowi do kieszeni na piersi i dla bezpieczeństwa zasunął zamek. Jordan śmiał się radośnie. Popatrzył na zegarek, była czwarta rano. Noc dobiegała końca.

— Strzelmy sobie po kawce i śniadanku — zaproponował.

Poprowadził ich w kierunku kafejki z żółtymi przepierzeniami.

— Dobra, ma blisko cztery setki patyków. Musimy go wyprowadzić — rzekł Cully, kiedy usiedli.

— Jordy, musisz wyjechać z Vegas. Jesteś bogaty, możesz robić, co chcesz. — Jordan zauważył, że Merlyn znów go obserwuje. Do diabła, to stawało się irytujące.

Diana dotknęła ramienia Jordana i powiedziała:

— Nie graj już więcej, proszę. — Jej oczy błyszczały. I nagle Jordan zdał sobie sprawę, że zachowywali się, jakby darowano mu wygnanie. Wyczuwał ich zadowolenie z własnej wygranej i aby im to wynagrodzić, zaproponował:

— Pozwólcie, że wam coś odpalę, chłopaki. I tobie też, Diano. Powiedzmy, po dwadzieścia kawalków.

Zaskoczyła ich ta propozycja. Po chwili Merlyn powiedział:

— Wezmę pieniądze, jak będziesz wsiadał do samolotu.

— To dobry układ — rzekła Diana. — Wsiądziesz do samolotu i odleczysz stąd. Dobrze mówię, Cully?

Cully nie podzielał ich entuzjazmu. Cóż złego było w przyjęciu dwudziestu patyków teraz i wsadzeniu go do samolotu potem? Gra była skończona. Nie przyniosą mu pecha. Ale Cully miał nieczyste sumienie i nie mógł wszystkiego powiedzieć. A wiedział, że to prawdopodobnie byłby ostatni romantyczny gest jego życia. Udowodnić, że jest prawdziwym przyjacielem, jak ta dwójka idiotów: Merlyn i Diana. Czy wiedzieli, że Jordan był kopnięty? Że wymknie się im i straci całą fortunę?

— Słuchajcie, musimy trzymać go z dala od stołów — rzekł Cully. — Musimy go chronić i pilnować, aż do wejścia na pokład samolotu do Los Angeles.

Jordan potrząsnął przecząco głową.

— Nie wybieram się do Los Angeles. Gdzieś dalej, w końcu jest wiele miejsc na ziemi. — Uśmiechnął się do nich. — Nigdy nie byłem za granicą.

— Potrzebna nam mapa — powiedziała Diana. — Zadzwoń do szefa portierów. Może nam załatwić atlas świata. Szefowie portierów potrafią robić cuda. — Podniosła słuchawkę i wykręciła numer. Kiedyś szef portierów w dziesięć minut załatwił jej aborcję.

Stół zapełnił się półmiskami z jedzeniem: jajkami, bekonom, ciastem i małymi stekami. Cully złożył królewskie zamówienie.

— Wyślesz czeki dzieciakom? — zapytał Merlyn podczas jedzenia. Nie patrzył na Jordana, który przyjrzał mu się uważnie i wzruszył ramionami. Naprawdę nie myślał o tym. Był nawet zły na Merlyna za zadawanie takich pytań, ale tylko przez chwilę.

— Dlaczego miałby dawać forsy dzieciakom? — zapytał Cully. — Naopiekował się już nimi. Pewnie zaraz zapytasz, czy nie pośle czeku żonie. — Zaśmiał się, jakby było to zupełnie wykluczone, i znów Jordan trochę się wściekł. Przekazał im zły obraz swojej żony. Nie zasługiwała na to.